

# Reiter Ernst Brückner

## Wprowadzenie

Prezentowany tekst został zamieszczony w książce jubileuszowej „Breslauer Passion 1945-1947”, która została wydana z okazji 70 rocznicy urodzin Horsta G.W. Gleissa. Pan Gleiss napisał monumentalną (i zarazem fenomenalną) 10-tomową pracę „Breslauer Apokalypse”, która opisuje walki o Wrocław w 1945 roku. „Breslauer Passion 1945-1947” jest swego rodzaju suplementem do tej pracy. Dla dziejów Oleśnicy w 1945 roku, szczególnie cenne są wspomnienia Ernesta Brücknera. Autor wspomnień, urodzony 20 grudnia 1927 roku, służył jako radiotelegrafista w 8 Szkolnym (Zapasowym) Pułku Kawalerii. Walczył między innymi pod Sycowem, Oleśnicą, Malczycami. Po zakończeniu działań wojennych trafił do sowieckiej niewoli, z której powrócił pod koniec 1947 roku.

Część dotyczącą Oleśnicy, Sycowa, Sołtysowic przetłumaczył Robert Bańka, student filologii angielskiej na Uniwersytecie Śląskim. Część dotyczącą Brzegu Dolnego, Malczyc oraz powrotu do Wrocławia, przetłumaczył Kamil Kartasiński, student historii na Uniwersytecie Śląskim.

WPROWADZENIE NAPISAŁ: KAMIL KARTASIŃSKI

Źródło:

„Breslauer Passion 1945-1947. Festschrift zum 70. Geburtstag des schlesischen Heimatforschers Horst G.W. Gleiss am 26. August 2000” Natura Et Patria Verlag, Rosenheim 2000 s. 432-438.

---

## Oleśnica, Syców, Stradomia

Styczeń 1945. W tym czasie znalazłem się w Richthofenkaserne [obecne „Białe Koszary”]. Po podstawowym przeszkoleniu zgłosiłem się na szkolenie do łączności i zostałem tam zapisany jako „rekrut” do plutonu łączności w celu przyuczenia na stanowisko radiooperatora. Dowódcą plutonu był Wachmeister (Wachmistrz) Heinrich, instruktorem radiooperatorów Unteroffizier (Sierżant) Fehlhaber, starszym sztabowym (chyba taki, co trzyma porządek na kompanii) był Gefreiter Hubert Dapper. Służba tam niczym się nie wyróżniała. W kompanii szkoleniowej (tej od łączności na 90%), starszym sztabowym był Gefreiter Neidhard z Kolonii, budził nas gwizdkiem i trzymał szczególną pieczę nad nami. Budził nas przyjaznym głosem. Na szkolenia chodziliśmy do budynku sztabu, musieliśmy wtedy być bardzo cicho. W tymże budynku mieszkały także rodziny oficerów. Rano wychodziliśmy w teren, pobrawszy uprzednio z kantyny prowiant. Przedpołudnia spędzaliśmy w sali szkoleniowej na „słuchaniu i dawaniu” [nadawanie i odbieranie], popołudnia w terenie, łącznie z ćwiczeniami z rozciągania kabli, łączenia kabli i nawiązywania łączności. W porównaniu z ciężkim szkoleniem podstawowym tutaj czuliśmy się jak na obozie „Kraft durch Freude” [nazistowska organizacja zajmująca się organizowaniem masowych imprez turystycznych i sportowych].

Potem przyszedł cios. Rosjanie zaczęli 12. i 14. stycznia ofensywę z ich przyczółka przy Baranowie i Puławach. Pojawiło się słowo kluczowe: niezwłocznie utworzyć grupę bojową (Kampfgruppe) w sile batalionu. W owej grupie bojowej, nazwanej od nazwiska naszego dowódcy, Rittmeistera (rotmistrza) von Wittenburga, był także oddział łączności. „Ochotnicy wystąp”, tak to się wtedy mówiło. Oczywiście nie było to wypowiedane głośno zaproszenie dla nas, młodych ludzi. Oto my, którzy

niedawno hucznie świętowaliśmy 17. urodziny, znaleźliśmy się tutaj w takich okolicznościach. Helmut Schultz, Viktor Huebner, Helmut Schmidt i inni moi koledzy z rocznika 1927. Jako elementy wspomagające były tam też oczywiście „starsze zajęcia”. W pośpiechu nas wyekwipowano. Nowe ubrania, buty i broń zostały nam wydane. Nie był dostępny od razu sprzęt radiowy, powinien potem nam zostać dostarczony. Oddział łączności następnie podzielono. Jedna grupa została przy sztabie, a innych łącznościowców rozlokowano po czterech kompaniach (szwadronach). Myśleliśmy o tym, czy przyjdzie nam robić za gońców i pieszo dostarczać meldunki.

Potem pewnego wieczoru, bodaj 18.01, grupa bojowa wyruszyła w marsz. Byłem w składzie jednej z kompanii, maszerowałem, a sztab poruszał się na wozach bojowych. Naszym celem było Gross-Wartenberg [Syców], dokąd przybyliśmy o świcie. Drogi były oblodzone, a każdy z nas ciężko obciążony. Oprócz wypakowanego po brzegi plecaka, na plecach, chlebaka z manierką i maską gazową, miałem swój karabin i dwie taśmy z amunicją do kaemu. Nic dziwnego, że niektórzy ślizgali się i upadali na gładkiej nawierzchni. Po chwili włóczęgi plecaki zostały odstawione. Następnego wieczora ulokowaliśmy się w Nieder-Stradam [Stradomia Dolna] na nasypie kolejowym z widokiem na front wschodni w kierunku lasu. W mieście napotkaliśmy oddział dział przeciwpancernych, który ustawiał się na pozycję po naszej prawej stronie na drodze w kierunku Neu-Stradam (Stradomia Nowa) i Nieder-Stradam. Patrol, do którego należałem, nie znalazł nikogo po lewej i wzdłuż nasypu w kierunku na Syców. Potem wysłano nas do lasu, znajdującego się około 150 metrów od nasypu, żeby rozeznać się w sytuacji. Szliśmy drogą przez las, aż natknęliśmy się na duże gospodarstwo. Według dzisiejszych informacji, musiało to być w miejscowości Gut Schleise [Majątek Ślizów]. Właścicielka była obecna, ale przygotowywała się do ucieczki. Przekazała nam klucze i wskazała piwnicę oraz wędzarnię, oraz zaprosiła i ugościła, zanim nie uciekła na furmance. Gospodarstwo było naprawdę ogromne. W stajni dało się słyszeć wiele rodzajów bydła. Dwóch naszych ludzi pracowało przy piecu, żeby w wielkim rondlu coś upichcić. Od wymarszu z Oleśnicy nie mieliśmy w ustach ciepłego posiłku, nic oprócz sucharów z chlebaka i kaszanki z puszki. Oczekując na posiłek, udaliśmy się jeszcze raz leśną drogą w kierunku na Nieder-Stradam na rozpoznanie. Na skraju lasu natrafiliśmy na niemiecki czołg, który trwał na posterunku przy jednym z domów, a następnie zawróciliśmy, żeby móc delektować się wyczekiwanymi smakołykami. Niedaleko gospodarstwa napotkaliśmy pozostawionych w tyle kolegów, którzy żywo gestykulowali nam, żebyśmy zachowywali się cicho. Zaskoczyli ich powracający do gospodarstwa Rosjanie. Rzeczywiście, dało się ich usłyszeć na skraju lasu z gospodarstwa, jak zamiast nas jedzą z rondla i dobierają się do zapasów w piwniczce z winem, którą zapewne znaleźli. Z pustymi żołądkami, ale wiedząc, gdzie są Rosjanie, wróciliśmy się na naszą pozycję przy nasypie i czekaliśmy na rozwój wydarzeń. Następnie trwaliśmy przy nasypie i odmrażaliśmy sobie kończyny. Nie mogliśmy się okopać, bo nie mieliśmy szpadli. W tę i we w tę, na zmiany wchodziliśmy do jednego budynku, żeby się ogrzać. Ale wewnątrz nie było o wiele cieplej, bo nie mogliśmy rozpalać ognia. Dym z komina zdradziłby naszą pozycję w ciemności. Około 50 metrów od tego budynku ulokowała się na pozycji nasza „czwórka”, czyli ciężka kompania (szwadron). Jej zdolność bojowa oparta była na czterech (a może tylko na dwóch?) lekkich moździerzach. Na nasypie zalegaliśmy my z naszymi karabinami i jednym lekkim kaemem. Na prawo ulokował się wspomniany już oddział przeciwpancerny. Co było wokół nas, nikt nie wiedział. To było nasze stanowisko w Nieder-Stradam. Czekaliśmy i marziliśmy. Nagle niebo się zaczerwieniło za lasem. Mogło to być spowodowane tym, że Rosjanie podpalili albo stodołę, albo i cały folwark, tak wielka była to łuna. Czy aby przedtem wyprowadzili bydło ze stajni? Na co było to bezcelowe mordowanie czegoś, co nam by się już nie przysłużyło, ale im przecież mogło? Oni przecież się nie wycofywali w popłochu, oni atakowali! Wandalizm nietrzeźwych

zwycięzców? Na prawo od nas usłyszeliśmy odgłosy walki, dochodzące z miejsca, gdzie rozstawione były PaKi [armaty przeciwpancerne]. Wtem wyszli na nas z lasu pierwsi atakujący. Nie dało się dobrze widzieć w tych ciemnościach, ale dźwięki pocisków z peemów, które przelatywały nam nad głowami, były wystarczającym dowodem ich obecności. Więc odpowiedzieliśmy ogniem, jakby jutra miało nie być, w ogóle nie wiedząc, gdzie celować. Ta strzelanina trwała jakiś czas, ale jak długo, to już nie powiem. Tak czy inaczej, wytrwaliśmy na pozycjach, i my, „zajączki”, przeszliśmy swój chrzest bojowy. Dzięki oddziałowi ppanc, który bodaj zniszczył jednego T-34, Rosjanie zrejterowali i zaczęli szukać innych dróg, które stałyby dla nich otworem. Bez tych działań być może wojna by nas wtedy pochłonęła. Ale nie, zachowała nas na późniejszy czas. Następnego dnia spędziliśmy beczynnie, czekając w Ober-Stradam, gdzie kolejna grupa cywili spokojnie czekała na rozwój wypadków. Pod wieczór przyszedł rozkaz, żeby wracać w kierunku Oleśnicy, dokąd zbliżali się Rosjanie. Więc batalion zaczął maszerować, człowiek za człowiekiem, przez grubą warstwę śniegu i przez lasy, to obchodząc wsie, to idąc szosą na Oleśnicę w szyku. W mroku zbliżyła się drogą na lewo kolumna marszowa, to musiało być na rozwidleniu między Zucklau (Sokołowice) i Spalitz (Spalice) [to są wioski w obrębie Oleśnicy – R.]. Wróg czy swój? Na szczęście, był to oddział niemiecki, który, tak jak my, szukał niepewnie drogi powrotnej do swoich linii. Wtedy byliśmy przed Oleśnicą, miastem rodzinnym naszej jednostki. Dalej na terenie miasta unosiły się flary. Chcieliśmy w szyku otwartym przedostać się przez lotnisko do naszych Richthofenkaserne. Tam napotkaliśmy leżące na ziemi przeszkody. Tutaj najwidoczniej znajdował się oddział niemiecki, który kiedyś przed nami znalazł tę samą drogę, tak jak my, i został doszczętnie rozstrzelany przez Rosjan. Płonące domy dopełniały upiorną scenę. Ogrom tej tragedii przykrył potem śnieg. Jednak wystarczająco dużo można było zobaczyć, by uzmysłowić sobie, jak wielkie nieszczęście spotkało ten oddział. Spokojnie i nie wydając ani jednego dźwięku szybko udaliśmy się do naszych starych koszar, które dla Ausb. Abt. 8 [Szkolny regiment Kawalerii nr 8] i dla nas stanowiły macierzystą jednostkę przez wiele dni. Nasze pokoje musiały zostać podpalone. Ściany zewnętrzne nad okiennicami były nadpalone od żaru. Nie niepokojeni przebiegliśmy obok nich do miasta. Rosjanie albo świętowali, albo byli już daleko stąd. Poszliśmy brzegiem potoku frontem formacji zwróconym do miasta. Cały dzień był spokojny. Ale na północny zachód od nas zobaczyliśmy rosyjską jednostkę pancerną holującą furmanki, ciągnącą w kierunku Breslau. Więc zostaliśmy niejako pominięci przez nich. Następnego nocy rozpoczęliśmy marsz na Breslau. Był to forsowny i szybki marsz. Jak tylko wchodziliśmy do jakiejś wioski, dało się słyszeć Rosjan. Wtedy zaczynał się bieg przez „płotki i ogrody”, dosłownie. Oczywiście, nie obyło się bez podnoszenia hałasu i zamieszania. W domach Rosjanie także hałasowali. Widocznie byli zbyt zaaferowani znaleziskami, żeby nas usłyszeć. Tak więc wczesnym rankiem dotarliśmy do Hundsfeld (Psie Pole), gdzie zajęliśmy wysunięty sztab. Najpierw złapaliśmy tu oddech, potem, gdy zebrano nasz ostatni oddział, zabrano nas do koszar w Karlowitz (Karłowice), gdzie najpierw ponownie trochę odpoczęliśmy i leczyliśmy pęcherze na stopach. I tutaj też podano nam pierwszy ciepły posiłek od wymarszu z Oleśnicy kilka dni wstecz. Ile tych dni było dokładnie? Cztery czy pięć? Nie pamiętam już. Gulasz makaronowy postawił nas wtedy na nogi.

### **Wrocław-Softysowice**

Po dwóch dniach spokoju znaleźliśmy się na północnych krańcach frontu wrocławskiego. O świcie pomaszzerowaliśmy do Burgweide-West (Polanowice). Nisko nad nami przeleciał nieostrzelany przez obronę przeciwlotniczą rosyjski samolot. Zapewne był zwiadowcą. Punkt dowodzenia naszego batalionu ustanowiony został w Polanowicach (albo też w Weidebrueck? – Krzyżanowice). Kwatera była w młynie lub też w gospodarstwie naprzeciwko dworku, który potem służył jako mieszkanie generała-marszałka von Kleista. Dowiedzieliśmy się o tym w ten sposób. Łącznościowcy, dotychczas

oddzieleni od kompanii, teraz zostali wszyscy włączeni do trzonu łączności batalionu pod jednym dachem, a więc pozostawali w bezpośredniej bliskości sztabu. Tutaj otrzymaliśmy sprzęt do łączności, a także dwa aparaty w plecakach. Kablowi doprowadzili nasz sprzęt w stan gotowości oraz przeciągnęli kable do kompanii rozstawionych na pozycjach na północ od Sołtysowic. Z racji tego, że dla nas – łącznościowców – nie było prawie nic do roboty, oddaliśmy się eksploracji pobliskiego terenu, między innymi wspomnianego dworku. Jego piwnica, do której weszliśmy przez otwarte drzwi, dostarczyła nam wszelkiego rodzaju owoców i inne delikatesy. Przejście przez pokoje dla gości doprowadziło mnie do sypialni gospodarzy, których już tam nie było. W sypialni na krześle wisiał starannie wyprasowany mundur Wehrmachtu z czerwonymi, generalskimi lampasami na spodniach. To był dla mnie sygnał do rozpoczęcia niezwłocznego odwrotu w stronę piwnicy, gdzie skłoniłem także innych do ucieczki. Ponowny wypad przyniósł nieszczęście, ponieważ jeden z kolegów został złapany przez żandarmerię polową, nazywaną „psami wartowniczymi”. Potem oczekiwaliśmy z niepokojem, jak przebiegną negocjacje w naszej sprawie z dowódcą batalionu, więc ostrożnie rozporządzaliśmy zapasami (albo była to przezorność „starych zajęców”?). Na szczęście, choć nie wiemy jak, nasz znajomy został wydarty od żandarmów pod wpływem naszego dowódcy batalionu. Kamień spadł nam wszystkim z serc. Nie znaleźliśmy osobiście Rittmeistera von Wittenburga, ale w tamtym momencie dziękowaliśmy za tego człowieka samemu diabłu, ba, nawet jego babci, w samiuśkim piekle. Ale znowu przyszło nam toczyć wojnę. Tutaj trzon łączności stracił pierwszego człowieka. Erwin Bloch, mój współlokator z Oleśnicy, nauczył nas na swoim przykładzie, że życie to gra w kości. Wieczorem udał się do jednej kompanii z woźnicą [chyba], żeby naprawić uszkodzoną linię telefoniczną. Było to w Hünern (Psary). Podczas gdy woźnica w stanowisku dowodzenia kompanii rozdawał jedzenie i pomagał innym salowym, Erwin poszedł jeszcze raz na pozycję sprawdzić kable. Tam dopadł go szrapnel z rosyjskiego granatu moździerzowego, którymi prowadzono ogień nękający na ten teren. Musiał zginąć na miejscu. Znalaziono go po poszukiwaniach, bo woźnica chciał wrócić na miejsce. Zwłoki dowieźli nam wraz z zawiadomieniem. Pojechałem samochodem i pożegnałem się z nim. Jego bladą, szarą cerę widzę do teraz. Tego wieczora rozmawialiśmy monosylabami. Oto zrobiono pierwszą lukę w naszych szeregach. Ale trzeba się będzie przyzwyczaić. Ostatnie zapytanie o niego do „Volksbund Deutsche Kriegsgräberfürsorge e.V.” podaje datę jego śmierci na 2 lutego 1945, a miejsce śmierci Kapsdorf (Czernczyce). Pytanie pozostaje więc otwarte, czy było to w Psarach, czy Czernczycach, bardziej na północ. Ja myślę, że to było w Psarach. Następnego dnia wieczorem pojechałem tam z woźnicą, żeby mnie hospitalizowano. Stanowisko dowodzenia kompanią ulokowało się przy wyjeździe z miasta Psary, w domu po prawej stronie, po przybyciu z Krzyżanowic. Czekałem na rozmieszczenie dowództwa i uspokajałem konie przy furmankach klepiąciami. Tu i tam coś wybuchło w okolicy, ale mi włos z głowy nie spadł. Życie to gra w kości...

## **Brzeg Dolny**

Krótko po tym nasz batalion został wycofany z frontu, zaopatrzony i przeniesiony do Hirschwerder (Zabór Wielki). Powinniśmy byli podjąć współdziałanie w Brzegu Dolnym, pod dowództwem generała Sachsenheimera, co zostało szczegółowo opisane w powojennej literaturze. Tuż przed atakiem, przeniesiono nas do wsi, na wschód tuż za wałem/groblą Odry i mostem kolejowym znajdującym się od Brzegu Dolnego. Zgodnie z obecnym stanem wiedzy mogła to być tylko Odra. Dobrze po północy spokojnie pojechaliśmy nad groblę. Potem nasi saperzy z pontonami (będący) jeszcze za groblą, pouczali: Bez paniki, kiedy ponton zostanie trafiony i będzie uciekać powietrze. Mamy dla każdego gumowe korki w plecakach, w których można załatać dziury w pontonach!”. Chociaż nie brzmiało to zbyt pocieszająco, trzeba było wykonać polecenie. Obszar pomiędzy groblą a brzegiem Odry wynosił

około 80 metrów, był bardzo oblodzony i z trudnością, mozolnie pokonaliśmy go w ciszy. Miałem za pasem bardzo ciężki radioaparat „Konrad”. Mimo to, wleźliśmy cała kompanią na dwa pontony wraz z czterema czy sześcioma saperami, siedząc okrakiem po bokach pontonu, wiosłując po przekątnej za łodzią w kierunku brzegu. Gdy załoga pierwszej łodzi była już na brzegu, został otwarty na nią ogień. W międzyczasie, również my wylądowaliśmy i leżeliśmy przed groblą na śniegu i lodzie, jak na tacy. Załoga pierwszej łodzi szybko jednak uciszyła wrogi karabin maszynowy i mogliśmy iść dalej. Nasz dowódca batalionu, rotmistrz Rudolf von Wittenburg, podobno jechał na koniu przez most. W literaturze jest, oprócz generała Sachsenheimera, wymieniony tylko major Joos, któremu bodaj nasza jednostka została podporządkowana. W książce „Walka o Śląsk 1944/1945” jest to szczegółowo opisane. Po tym, jak grupa techników w zakładach chemicznych spełniła swoje zadanie, radośni i w świetnym humorze udaliśmy się upojeni sukcesem do łodzi szturmowych i saperzy z powrotem zabrali nas na lewy brzeg Odry. Ale jeszcze nie mogliśmy być całkiem spokojni.

## **Malczyce**

Grupa Sachsenhimer została natychmiast skierowana w kierunku Malczyc, gdzie miała „wykurzyć” rosyjski przyczółek. Również ta operacja została opisana w książce „Walka o Śląsk”. O ile dobrze pamiętam, zostaliśmy skierowani do Lipnicy (Schadewinkel - część gminy Środa Śląska, około ) lub/i do Szczepanowa (Stephansdorf, ta sama gmina) (będzie to Szczepanów – Lipnica leży po stronie Odry zajętej przez Rosjan). Przed wyjściem w marsz, wszystkie niepotrzebne bagaże (ekwipunek) zostały pozostawione w kwaterze i tylko z ekwipunkiem bojowym, mieliśmy utrzymać szczyt wzgórza. Było to 7 lutego 1945. Po drodze minęliśmy naszą baterię artylerii, która powinna przygotować nasz atak. I naprawdę, krótko potem rozpoczęła się nawała ogniowa. Jednakże nie była ona długotrwała, użyto może dziesięć czy dwanaście pocisków. Potem nastąpił nasz szturm na miasto Malczyce. Szybkim tempem przeszliśmy przez zmiękczone odwilżą pole, w kierunku zachodnich przedmieść (Malczyc). Od czasu do czasu spadały na nas pociski z rosyjskiego moździerza i ogień karabinu maszynowego ostrzeliwującego pole i musieliśmy odsapnąć. Kiedy padałem, to mój towarzysz broni musiał mi zawsze pomagać wstać na nogi, ponieważ miałem na plecach ciężki aparat radiowy. Na przedmieściach przejęliśmy lekkie działo rosyjskie, z którego zapewne usunęliśmy zamek i przyrządy celownicze. Następnie osiągnęliśmy kopalnię gliny, należącą do cegielni. Tutaj zbieraliśmy się do ataku na cukrownię. W tym celu kompania szturmowa, miała atakować od nasypu z gliny albo piasku, wysokiej na około 3 metry, a następnie przeprowadzić faktyczny atak na fabrykę. Na krawędzi skarpy, byli obserwatorzy artylerii z radiooperatorami. Jednakże ten zespół został trafiony i tym samym dalsza pomoc artylerii nie była możliwa. Atak pierwszej kompanii nie powiódł się. Również druga kompania nie miała żadnego sukcesu. Teraz dowódca batalionu zwołał sztabową kompanię, do której należeli też oczywiście gońcy (ja to nazywam trzonem łączności). Za jego rozkazem „Za mną!” udaliśmy się na nasyp i biegliśmy od sterty do sterty buraków cukrowych w kierunku cukrowni. Inna kompania, która przybyła w międzyczasie, zajęła ją wcześniej. Rotmistrz von Wittenburg został ranny w czasie ataku w ramię i przed jego ewakuacją przez Sankę (czyli pojazd sanitarny - Der Phänomen Granit 25 H). Na dowódcą batalionu mianowano dowódcę pierwszej kompanii, porucznika Simona, Ataki naszego sąsiada po prawej, jednostki majora Joosa, w celu dostania się do miasta, utknęły w martwym punkcie. My sami prawdopodobnie zajęliśmy Malczyce. Nawet pojaliśmy dwóch jeńców – młodych chłopców w naszym wieku, blondynów i niebieskookich. Mówiliśmy, że nawet Himmler byłby nimi zachwycony. W ich twarzach było widać strach. Kiedy podzieliśmy się z nimi naszym posiłkiem i papierosami, rozjaśniły im się ich twarze. W nocą bateria (Sammler) z mojego radia wyzionęła ducha, była rozładowana. Przeszedłem przez teren, drogą do budynku administracji fabryki, gdzie znajdował

się sztab batalionu. W poszukiwaniu plutonu łączności przeszedłem do pokoju, w którym byli poważnie ranni, czekający na ewakuację. Tutaj dosłownie zamarzała krew w żyłach. Widziałem już pierwszą śmierć w naszej jednostce (Erwin Bloch). Ale to, co tutaj zobaczyłem, było przerażające. Mężczyźni, którzy byli ze zdeformowanymi, nie do poznania, kończynami, z połówkami twarzy od eksplozji, cicho jęczący, a ponadto wszystko unosił się tam straszny smród. Pośpiesznie opuściłem pokój i za zamkniętymi drzwiami musiałem wziąć głęboki oddech, aby odzyskać spokój. Życie to gra w kości ... Następnego dnia, po naszej lewej stronie usłyszeliśmy ogień zaporowy. Ponieważ to oznaczało, że tylko Rosjanie mogą przyjąć, obawialiśmy się najgorszego. I rzeczywiście miasto Malczyce nie zostało już odzyskane i musieliśmy ponownie się wycofać.

### **Od Środy Śląskiej, w kierunku Świdnicy na Wrocław**

Rosjanie wyprzedzili nas w Ścinawie i groziło nam okrążenie. W Środzie Śląskiej, gdzie nasze bagaże i niepotrzebne rzeczy zostały w czasie ataku, nie mogły do nas więcej wrócić, ponieważ Rosjanie się tam ustanowili. Pomaszerowaliśmy na Środę Śląską, i zgromadziliśmy się tam w mleczarni. W okolicy było słychać odgłosy bitwy. Jeden oddział dział Flak [artylerii przeciwlotniczej] wdarł się na pole bitwy i inne jednostki wycofały się. Nasz batalion uformował straż tylną i z większością (pewnie innych jednostek, a raczej resztek) przedarł się w kierunku Świdnicy, do własnych linii. Na razie zaopatrzyliśmy się w mleczarni w zapasy żółtego sera i mleka. Niestety nie znaleźliśmy żadnego chleba, więc jedliśmy ser posmarowany masłem, bez chleba. Nawet naszym dwóch jeńcom pojawiła się chęć zakosztowania. W nocy nastąpił dla nas czas odjazdu. W luźnym szyku szliśmy do przodu. Nasi dwaj jeńcy nieśli po danym (im) jednym panzerfauscie. Ale nasz dowódca batalionu, jadąc motocyklem, zobaczył to na nieszczęście. Naturalnie, miał rację i powiedział: „jakie nieszczęście może się przydarzyć, gdyby te dwa lwany, uczniowie Józefa Stalina, uwolniliby się?” Ci chłopcy widzieli, że są zdani na pastwę losu. Co się z nimi stało, czy w ogólnym zgiełku udało się im uciec, czy pomaszerować na Wrocław, tego nie wiem. Najpierw jednak chcieliśmy pójść do Świdnicy. Nic jednak z tego nie wyszło. Albo pomylili się nasi zwiadowcy, albo rozkaz brzmiał inaczej. Skoro świt poszliśmy przez łąkę, gdzie powitał nas pomnik Fryderyka Wielkiego. Znaleźliśmy się w miejscu, gdzie było pole bitwy pod Lutynią (starcie z 1757 z okresu F.W). Na krajowej drodze Wrocław- Berlin pomiędzy Lutynią a Leśnica trwały zacięte walki. Maszerowaliśmy na przełaj nienagabywani przez nikogo i w Leśnicy zgromadziliśmy się w tamtejszych koszarach SS. Podczas gdy porucznik Simon wyruszył do Wrocławia po rozkazy, splądrowaliśmy szafki, w poszukiwaniu chleba. Znaleźliśmy jeden twardy chleb i posmarowaliśmy go naszym masłem i serem. Po jakimś czasie nasz dowódca wrócił z wiadomością, że jako batalion „Simon” zostaliśmy zaklasyfikowani do pułku „Hanf” w twierdzy Wrocław i powinniśmy natychmiast udać się do miejsca Wrocław- Żerniki. Byliśmy z powrotem w swojej jednostce, ponieważ dowódca pułku rotmistrz Hanf był naszym dowódcą w Richthofenkaserne w Oleśnicy. Tutaj dowiedzieliśmy się, że reszta personelu z Oleśnicy jako Kampfgruppe pod dowództwem z Wrocławia, zajmuje odcinek południowego frontu na północ od miasta. Nawet nasze plecaki, które musieliśmy zostawić w Sycowie, przybyły w międzyczasie do Wrocławia w wyniku ryzykownej podróży odbytej bryczką. Bagaż znajdował się na ulicy Fryderyka Karola. Mogliśmy w końcu zmienić bieliznę. Niestety, tej nocy maszerując gęśiego w gęstym lesie, straciliśmy w niewyjaśnionych okolicznościach naszego towarzysza Helmuta Schmidta z jego dwoma radioaparatai. Choć to było teraz bez znaczenia, ponieważ nie mieliśmy połączenia i nie mogliśmy się połączyć z innymi radioaparatai. Dlatego oddaliśmy je i otrzymaliśmy w zamian radioaparaty „Henryk” . Byliśmy bardzo zadowoleni, ponieważ nasz nowy sprzęt był znacznie lżejszy od tego, na który zostaliśmy przeszkoleni w Oleśnicy. W rzeczy samej tylko z tym sprzętem była możliwa niezakłócona transmisja głosu, ze względu na pracę w

zakresie UKF. 10 lub 12 lutego przybyliśmy do Wrocławia, czyli skończyła się nasza odyseja, która zaczęła się 18.01 w Oleśnicy,. Mnie ten czas wydawał się małą wiecznością. 12 lutego Wrocław został okrążony. Zostaliśmy po prostu odcięci. Choć pierścień okrężenia na południu został ponownie otwarty, to 15 lutego został definitywnie zamknięty.